

TYGODNIK ILLUSTROWANY



Nr 130. Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 22 marca 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Dawne ubiory i uzbrojenia (drzeworyt).— Kronika tygodniowa.— Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego.— Boruta (z czterema drzeworytami) dookończenie.— Obrazy krakowskie.— Korrespondencya od redakcyi.— Szkoła w Kurzętniku (z drzeworytem).— Zadanie konikowe do nagrody i rebusu.

Kronika tygodniowa.

W budownictwie Warszawy dziwnie zawsze odbijały się dzieje jej mieszkańców. Od początku do końca można tam śledzić postęp wieków; każdy przyczynek nosi na sobie cechę usposobienia moralnego ludności naszego miasta. Jest to jedną z głównych stron zadania przyszłego historyka stolicy Mazowsza i kraju; my tu chcemy zwrócić tylko uwagę na jedną drobną cząsteczkę tej kroniki warszawskiej, którą cegły i wapno trwałemi rysami wypiętnowały, dla wiadomości obecnego pokolenia i tych którzy po nióm nastąpią.

Najdawniejsza część Warszawy obfituje w świątynie Pańskie. W okolicach Starego i Nowego miasta, oraz na przyległych im ulicach, znajduje się kilkanaście kościołów; reszta obrębu miejskiego, nierównie zamożniejsza, obszerniejsza, wystawniejsza, i połowy tej liczby nie posiada. Z tego względu niektóre parafie tak są rozległe, że czasami kilka wiorst odległości oddziela mieszkańców od kościoła parafialnego do którego należą. Przed piętnastu za ledwie latami mieszkańcy ulicy Chłodnej liczyli się do parafii kościoła Najświętszej Panny Maryi, a to dobre pół mili odległości. Wybudowanie kościoła św. Karola Boromeusza, zaradziło choć w części złemu; ale pomimo tego liczba parafij, stosunkowo do obszaru miasta, jest bardzo szczupłą. Ważna ta niedogodność byłaby może choć w części usunięta, gdyby ilość innych kościołów odpowiadała rozległości Warszawy i ludności jej, a mianowicie gdyby była dobrze rozłożona. Ale tutaj właśnie okazuje się największy niedostatek.

Warszawa, wychodząc po za dawny swój obręb, budowała wygodne ulice, wspaniałe pałace, świetne gmachy. Sklepy ozdabiali się coraz bardziej, ruch miejski się podwajał, i ze wzrastającą liczbą materialnych potrzeb, mnożyło się wszystko co tylko do zaspokojenia ich służyć mogło. Nie brakło magazynów i handlów wszelkiego rodzaju, restauracyj, winiarni, kawiarni, szynków. Speculanci zakupywali place, budowali co chwila nowe domy, i można było przewidzieć, że zbyt obszerny obręb,znaczony w przewidywaniu znacznego rozszerzenia nowo-budującej się Warszawie, wkrótce zostanie zapełniony. Ale o chwa-

le Bożej mało kto myślał, bo ta nie nastęcała sposobności ani do spekulacyi, ani do wygody, ani do zysków. Całe połacie miasta wznosiły się jakby czarodziejską ręką, a ani jeden kościółek w nich nie zaświecił. Te które istniały dawniej, pozostały i nadal; położone po za obrębem miasta, weszły powoli w ten obręb, a mieszkańcy, zadowoleni że znaleźli kilka kościołów gotowych, nie myśleli bynajmniej o pomnożeniu ich liczby. Najnowsze części miasta, które nie zastały pod tym względem nie przygotowanego, nie starały się wcale zaradzić złemu. Policzymy tylko ile się znajduje kościołów w całej stronie rozciągającej się ku rogatom mokotowskim, wolskim i powązkowskim. Ta najobszerniejsza część miasta jest prawie pozbawioną świątyni. Toż samo można powiedzieć i o samym jego środku, o cyrkulach w których głównie bije puls ludności, gdzie najzamożniejsi mieszkańcy.

Dopóki pozostawały jeszcze u nas ślady usposobienia przez koniec XVIII wieku wszczepionego, dopóki późniejsza niemoralność i brak wszelkiego poszanowania jakie społeczność sobie winna, odstręczały ludzi od służby Bożej, dopóty te kilka kościołów aż nadto były wystarczającami do pomieszczenia w sobie mniejszej stonkowo części tych, co zachowali w sercu w całej czystości dawną wiarę przodków. Nawet tak zwane niższe klasy miejskie, które u nas zawsze słyneły z pobożności i szanowania przepisów religijnych, owiane jakimś powiewem obojętności, przez pewien czas mniej regularnie uczęszczały do kościołów, i podczas największych uroczystości religijnych można się było wygodnie w nich pomieścić.

Ale dzisiaj, kiedy daj Boże niepowrotnie minęła już ta zgubnej pamięci epoka, dzisiaj kiedy naród znajduje największą pociechę w modlitwie, dzisiaj kiedy zwróciliśmy się wszyscy do Ojca naszego, do Orodniczki i królowej naszej, z prośbą i łzami, dziś rzadkie te kościoły nie mogą w sobie pomieścić tłumy pobożnych jaki się do nich ciśnie. W każdą niedzielę, w każde uroczyste święto, tyleż prawie ludzi stoi w przedsionku i przed kościołem, ile się we wnętrzu znaj-

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 21.

Wiek XV. Stroje ziemian i obywateli krakowskich. a) Pątlík zlocisty na głowie, suknia zwierzchnia oliwkowa, kołnierż seledynowy, spodnie ubranie żółte z czarnym;—b) Niewiasta w czapce futrzanej, zwierzchnia suknia pasowa;—c) kapelusz aksamitny szafirowy z piórem amarantowém, kontusz popielaty, pas niebieski;—d) niewiasta obok w czapce futrzanej, z dnem perłowej barwy, płaszcz aksamitny czarny, popielcami obsyty. Rysunek wzięty z mszału Erazma Ciołka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

duje, a pomiędzy tymi którzy zdołali się wcisnąć, tłok jest taki, że modlitwa staje się prawie niepodobną. Dodać do tego potrzeba, że u nas ludność nie jest wcale wezwyczajoną do tego porządku, jaki w wielu miejscach za granicą przy większych zebraniach, zwłaszcza podczas uroczystości religijnych i nabożeństw, jest w użyciu. Wchodzący i wychodzący nie mają odmiennie dla siebie wyznaczonej strony i mieszają się razem; ścisk zaś jeszcze bardziej powiększa się zwykle przez natłok żebraków, którzy sobie *locum standi* we drzwiach i na gankach kościelnych obierają i tym sposobem utrudniają tak wejście jak i wyjście. A nie tylko dzieje się to w kościołach tak nazwanych *modnych*, (bo niestety i u nas znajdują się takie), ale wszędzie mniej więcej. W obecnej zwłaszcza porze, przy postnych nabożeństwach, coraz trudniej dostać się do kościołów. U księży reformatów naprzykład nietylko już kościół i krzesła, ale nawet boczne korytarze tak są pełne ludzi, że przecisnąć się niepodobna.

Należałoby chociaż w części temu zaradzić, przez ustanowienie jakiegoś porządku pomiędzy żebrakami zawałającymi wejście; są oni bowiem nietylko przeszkodą, ale zgorzeniem dla modlących się, przez swoje klótnie, krzyki, zaczepiania. Chroń nas Boże, żebyśmy kogokolwiek mieli odwozić od dawania jałmużny; ale doprawdy, czasem człowiek z najlepszą chęcią wsparcia ubóstwa, w bardzo trudnym znajduje się położeniu.

Niedawno przechodząc przez ulicę Senatorską, spotkał się żebraczkę, młodą jeszcze i zdrową, jak okazywała jej fizyognomia, pomimo łachmanów jakimi starała się swoją nędzę uobrazować, z kilkumiesięcznym dzieckiem na ręku. Dziecko to, chore i mizerne, cierpiało widać na oczy, zasłonięte jakimś kawałkiem brudnej płachty, odkrywanej przez żebraczkę przed każdym przechodzącym, którego powierzchowność zdawała się znamionować większą trochę zamożność. Widocznie światło i powietrze szkodziły dziecku, bo za każdym odsłonięciem płachty, twarzyczka jego kurczyła się z bólu i płakało żałośnie. Ale żebraczka nie zważała na to, owszem co chwila powtarzała odkrywanie, dla wzbudzenia litości przechodniów. Przypatrzyliśmy się jej przez chwil kilka, a patrząc, osiągnęliśmy przekonanie, iż ona nie musi być matką tego niemowlęcia, gdyż matka wołałaby raczej wszystko znieść, aniżeli narazić dziecko swoje na tak straszne cierpienie. Tego rodzaju przemysł uliczny, przybiera podług nas rozmiary nie już występku, ale zbrodni, a zbrodnia to tém sroższa i straszniejsza, że dokonana na istocie nietylko bronić, ale nawet skarżyć się niezdolnej.

Jedna z gazet tutejszych podniosła w tych dniach dość ważną kwestyą, która i nam od pewnego czasu leżała na sercu, chociaż nie mieliśmy sposobności rozpisania się o niej. Idzie tu o wadliwe urządzenie wagonów 4ej klasy na kolei żelaznej, które będąc bez żadnego nakrycia, wystawiają podróżujących, tą klasą na wszelkie zmiany powietrza i na choroby łatwo zjadł się mogące. Za granicą już po większej części zmieniono ten niedogodny rodzaj podróżowania, i najtańsze klasy wagonów na kolejach żelaznych otrzymały nakrycie, tak potrzebne dla zdrowia podróżujących. Wydatek ten niewielki, szczególniej jeżeli weźmiemy na uwagę korzyść jaką przyniesie dla uboższych klas publiczności.

Pamiętamy że we Francji, przy zaprowadzaniu stopniów kolei żelaznych, ostatnie klasy także były bez nakrycia. Wówczas publicyści powstałi chórem przeciwko temu, jak się wyrażali, nadużyciu kapitału. Najłośniej i najdowcipniej ze wszystkich krzyczał Alfons Karr w swoich *Osach*.

Trzeba wiedzieć, że w owym właśnie czasie sądy przysięgłych francuzkie zachorowały na manię *okoliczności łagodzących*. Nie było tak okropnej zbrodni, do którejby poczciwi episierowie francuzcy nie przycepiłi owych okoliczności łagodzących, żeby użyć swojemu sumieniu, zastraszonemu srogim wyrokiem sądu. Owóż zdarzyło się że pewnego razu siostra popełniła morderstwo na własnym bracie i pokrajała trupa na kawałki. Przysięgli uznali ją winną, dołączając jednakże, jak zawsze, do swojego werdyktu okoliczności łagodzące. Karr tedy, korzystając z tej okoliczności, odzywa się w następujący sposób:

„Ciekawym jest, mówią *Osy*, ostatni wyrok sądu przysięgłych w procesie siostry, która zabiwszy brata, ciało jego na drobne kawałki pokrajane włożyła w kufer. Ale zbrodnię odkryto, śledztwo nakazano i sąd przysięgłych po staremu wydał wyrok, w którym wywólł znowu z kąta swoje odwieczne *okoliczności łagodzące*. Pytamy gdzie tu sąd przysięgłych okoliczności łagodzące znalazł? Czy w tém że to siostra zabiła brata, czy też że kawałki były małe? Ale co tu gadać napróżno. Oto niech lepiej sąd przy-

sięgłych stara się brać przykład z dyrekcji kolei żelaznych; tam sprawiedliwość żadnymi postronnymi nie krępuje się względami. Występni i zbrodniarze, którzy nie mają dość pieniędzy w kieszeni, żeby zapłacić za drugą albo przynajmniej trzecią klasę, skazani są przez dyrekcję kolei żelaznej na śmierć bezwarunkową, śmierć bez żadnych okoliczności łagodzących, albo przynajmniej na jaką ciężką i nieuleczoną chorobę. Wyrutki te społeczeństwa, którym brakuje kilku franków na zakupienie wygodnych miejsc, śród śniegu, deszczu i słoty, bez żadnego okrycia, jechać muszą w wagonach. Wystawieni oni są na dym, iskry i parę, w ogóle na wszelkie dogodności jakie bliżkie i niczem nie odgródzone sąsiedztwo lokomotywy przedstawia, i muszą chyba być żelaznego zdrowia, żeby w ciągu kilkunastomilowej podróży oprzeć się tym wszystkim zgubnym wpływom. Chwali się dyrekcjom kolei żelaznych ta gorliwość w poprawianiu przywar i występków społeczeństwa. Rzeczywiście, indywidua nie posiadające dość pieniędzy w kieszeni, to ludzie zarazieni trędem, to gangrena społeczeństwa, to zbrodniarze, na których śmierć wydaje się zbyt lekką jeszcze karą. Bo w tym oświeconym wieku, w tym wieku paradnych wystaw sklepowych i towarzystw akcyjnych, nie posiadając dosyć pieniędzy i osmielać się żyć pomimo tego i zawałać miejsce drugim, jest to zuchwałością nie do darowania. Powtarzam że dyrekcje kolei żelaznych mają najzupełniejszą słusność.“

Tyle Karr, i zdaje się że po tych wymownych, pełnych dowcipu słowach, nie niema już do powiedzenia, zwłaszcza że usiłowania publicystów francuzkich, którym Karr tutaj jak i w wielu innych razach przewodniczył, pożądanym odniosły skutek, i dyrekcje kolei żelaznych poprawiły wadliwe urządzenie najtańszej klasy wagonów. U nas rada zarządzająca koleją warszawsko-wiedeńską wielokrotnie już dowiodła, że gdzie idzie o dogodność i pożytek publiczności, tam nie ogląda się na koszt i znaczne nawet wydatki ponosi; sądzimy więc że i to stosunkowo niekosztowne ulepszenie zostanie zaprowadzonym, i wagony czwartej klasy uzyskają pokrycie, tak potrzebne dla dogodności i zdrowia podróżnych.

Ostatniemi czasy w pismach naszych podnoszoną była kwestya sprowadzania robotników z zagranicy. Rzecz ta znajduje u nas wielu stronników, potworzyły się na to kantory i umyślni komissanci, i w wielu miejscach nowoprzybyli robotnicy zastępują już ludność krajową. Pytanie jednak, czy to w istocie jest dla nas tak korzystnym, jak mniemają niektórzy. Właściciele nasi ziemscy skarżą się na brak robotników. Zkąd ten brak pochodzi, kiedy ludność wiejska, podług najdokładniejszych wyrachowań statystycznych, jest aż nadto wystarczającą do obróbenia obszarów gruntu w kraju naszym? Trudność ta zdaje się pochodzić z nieuregulowanych jeszcze stosunków włościańskich. Z jednej strony nieufność i obawa, z drugiej ciemnota i powodowanie się szkodliwymi wpływami, rodzą często nieporozumienie. Po nastąpieniu jednak kardynalnej zmiany stosunków pomiędzy właścicielami a włościanami, przy uregulowaniu proporcjonalnego wynagrodzenia pracy, przy rozszerzeniu oświaty w klassach niższych, nad czem ogólnie teraz pracują, nieufność zniknąć musi. Dzisiaj, gdy tyle maszyn używamy do pomocy, mniej nam potrzeba robotników aniżeli dawniej, a jednak dawniej ta sama ludność była wystarczającą. Tyłu biedaków umiera prawie z głodu, tyłu się tuła bez żadnego zajęcia: jakżeż tu się żalić na brak rąk, poco pomnażać i tak już znaczną liczbę niezajętej ludności sprowadzaniem innej, która chleb jej z rąk wydzierać będzie? Jest to według nas zamiast zmniejszenia, powiększenie tylko szerzającego się nieporozumienia.

A teraz, pytam, zkąd sprowadzają tych nowych, tak *pożyczanych* dla nas osadników? Jużci nie z Niemiec, ale z krajów słowiańskich pod berłem niemieckim położonych, ze Szląska, z Prus zachodnich, z Czech wreszcie, nawet z Poznańskiego. Otóż to dobre zrozumienie kwestyi żywotnej dla nas! Osłabiamy ludność słowiańską tam właśnie, gdzie ona jest najpotrzebniejszą. Wszakżeż niedawno drukowaną była przez jakiegoś Niemca rozprawa, w której autor podaje sposób porozumienia się raz na zawsze między swojemi rodakami a nami. I wiecie jakie ma być to porozumienie? Oto autor proponuje stopniowe przenoszenie z w. ks. poznańskiego i Szląska ludności słowiańskiej na wschód, a zastąpienie jej przez Niemców w krainach słowiańskich, albo też w prowincjach nadbałtyckich cesarstwa rosyjskiego zamieszkałych. Tym sposobem, mówi autor, i wilk będzie syty i owca cała. Zaiste, wyborby sposób załatwienia tego odwiecznego sporu! Ale widać że stronnicy sprowadzania do nas nowych osadników w najzupełniejszej muszą być zgodzie z owym autorem niemieckim, bo rzetelnie w jego myśl biją. Cóż może być pożądanego, jak kiedy rzeczy

tak gładko układają się, z zadowoleniem stron obydwóch?!

I jacyż to, myślicie, owi uzdolnieni robotnicy, rajtaje, włodarze, których kantory kommissowe z wielkim trudem i kosztami sprowadzają na wasz pożytek? „Oto, pisze jeden ze świadków naocznych, byłem właśnie na Szląsku, kiedy agent jednego z kantorów kommissowych łowił tutaj ludzi do Polski. Śmiech mnie bierze kiedy sobie to wspomnę. Łapano tłukących kamienie, górników z kopalni węgla, kramarzy, kamieniarzy, szewców, ceglarzy, którzy nigdy nie mieli płu-ga w rękę, godząc ich na *uzdolnionych raitai*. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość tym ludziom, iż szczerze wyznawali swoją nieudolność; lecz agentowi chodziło tylko o liczbę, a przecież nie święci garnki lepia.“

Zaiste, jeżeli takimi pracownikami wiejska robocza ludność nasza ma być pomnażana, to już lepiej nie zadawać sobie tyle trudu i zachodów.

W niektórych miejscach inne znów proponują środki doraźnego zaradzenia złemu. Dla oryginalności wspomnę o jednym z nich.

W pewnym miasteczku, z okazji targu, zgromadziło się kilku okolicznych właścicieli ziemskich. Zaczęto mówić o włościanach i skarżyć się na drażliwe z nimi stosunki, na wstręt ich do pracy i niechęć podejmowania się dziennej roboty, nawet za sowitą względnie opłatą. Szukano środków zaradzenia złemu, i jeden z obywateli proponował, ażeby włościanin uporeczywy, a skutkiem tego ze wsi wydalony, (nie mówi się tu naturalnie o włościanach na podstawie tabel prestacyjnych osiedlonych), na świadectwie miał położony nieznaczny krzyżyk albo kółko. To, twierdził ów pan, byłoby hasłem nieprzyjmowania go nigdzie, i tym sposobem jeżeli już nie poprawą dla niego, stałoby się nauką i przykładem dla innych. Naturalnie większość zebranych obywateli uważała ten środek, jak na to zasługuje, za niegodny szanujących się ludzi; nikt jednak nie znalazł w sobie dosyć odwagi cywilnej, żeby go jawnie potępić, a nawet z kilku stron odezwały się przyklaskujące głosy.

Wątpimy aby choć jedno podobne świadectwo znalazło się w obiegu; gdyby tak jednak było, nie dla włościanina stałoby się ono potępijącym, lecz dla obywatela który poważył się je wydać i tak nisko podstępnyu sposobem mścić się za prawdziwe czy urojone krzywdy. Wolno panu w zaświadczeniu wskazać otwarcie wady jakich dostrzegł w postępowaniu swojego służącego; owszem, w tym właśnie celu zaprowadzony został zwyczaj wydawania świadectw, i jedyny to sposób nagrodzenia pracy albo potępienia lenistwa i krnąbrności ze strony najętych robotników. Ale żeby ktoś, dając niby dobre zaświadczenie, jakimś umówionymi znakami ostrzegał zarazem potajemnie i mścił się za oczy, na to godność osobista świadczącego nigdy pozwalać nie może.

Jakiś jegomość wydał w Kijowie książkę, w której opiewa wielkie przez siebie uczynione odkrycie, że nie ziemia koło słońca, ale słońce koło ziemi się obraca. Zaprzeczał temu Kopernik, a nawet więcej już zbliżony do naszych czasów Winawer, właściciel handlu trunków na Krakowskiem Przedmieściu, w dewizie swego szyldu, która brzmi jak następuje:

Dowodzi tego Kopernika praca,
Ze koło słońca ziemia się obraca,
A że to jest prawda szczerą,
Stwierdza wódka Winawera.

Może się trochę omyliłem w układzie wyrazów, ale treść taka sama. Ów jegomość jednak nie wierzy tym dowodom, trzeba by mu chyba przytoczyć wyrazy Woltera, który tak mówi:

„Mają słusność wykładacze pisma świętego, i Kopernik ma także słusność. Rzeczywiście do czasów Jozuego słońce obracało się około ziemi; ale wiadomo że Jozue w owej pamiętnej bitwie rozkazał słońcu stanąć, a nie napisano wcale żeby mu polecił iść dalej. Więc od tego czasu słońce, posłuszne rozkazowi, stoi jak mur na miejscu, a natomiast ziemia rozpoczęła swój ruch obrotowy.“

Notując skrzątnie każdy fakt odnoszący się do oświaty naszego ludu, donosimy czytelnikom, że przed kilkoma miesiącami w powiecie stanisławowskim, w wsi Ossowno, majątności p. Z. założoną została szkoła, do której dziś uczęszcza 34 dzieci. Postęp ich w naukach ma być zadziwiający. „Czytają wszystkie niezłe po polsku (pisze nasz korespondent), a dziecięciu chłopców czyta nawet po łacinie (!!!); z rachunków umieją cztery działania, a połowa dzieci pisze już wcale znośnie. Nauczaniem zajmuje się brat dziej-dzica, przy pomocy jednego z oficyalistów, p. K.“ Nie pojmujemy wprawdzie do czego posłużyć ma zaprzatanie dzieci wiejskich łaciną; w każdym jednak razie i tu jak wszędzie wołamy z serca: *Szczęść Boże pocziuciej pracy!*

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Galicyi.

Smutno, bo nekrologią rozpoczynam ten list. Rok ubiegły tyle nam zabrał ofiar, że niepodobna o wszystkich pisać za jednym ujęciem pióra. Tym razem odpisuję *Gazecie Warszawskiej*, która donosząc o zapisie Włodzimirza Młockiego, dodaje iż nazwisko to nieznane jest krajowi. Zaiste Włodzimierz Młocki nieznany był za życia, ale pomnąć będą na niego wnuki i prawnuki, bo myślał o ich szczęściu, o daniu im sposobności kształcenia się na dobrych obywateli kraju. Młocki testamentem z d. 4 lutego 1864 r. zapisał swój majątek, dobra Kujawy, wartujące do czterech kroć sto tysięcy złotych, na stypendya dla młodzieży poświęcającej się literaturze polskiej, historii i prawu. Postępek ten, tak rzadki u nas, tak niepraktykowany, nie potrzebuje pochwał, sam on mówi o szlachetności tego, który podobny zapis skutecznił. Włodzimierz Młocki urodził się 10 kwietnia 1827 r. w Warszawie, umarł 24 września 1864 r. w Wrocławiu. Był dorodnej postawy, szczupły, bladej, więcę wysokiego niż średniego wzrostu; czoło wyniosłe, rzadkim, jasnym otoczone włosiem, oblicze surowe, zamysłone, powierzchowność wyrażająca zadumę, smutek; mało mówny, a jednak mówiący z zapalem, namiętnością i gorzką ironią. Kochał kraj, jak nikt go bardziej nie zdolny kochać—na świat patrzył przez pryzmat Bajrona i Juliusza; widział dookoła fałsz, obłudę i brak szczerzego zajęcia się sprawą publiczną. Młodość całą spędził w Krakowie, gdzie skończył zaszczytnie gimnazjum i studia prawne. W r. 1846 był jedynym obrońcą Michała Wiszniewskiego, gdy mu zagrażało niebezpieczeństwo. Energia jego i syna Michała W., powściągnęła tłumy. W listopadzie 1847 r. wyjechał do Dreżna i tu zaprzyjaźnił się z rodziną Karola Lipińskiego, której towarzystwo uprzyjemniało mu pobyt poza krajem, za którym zawsze tęsknił. Rok 1848 ujrzał go znowu w Krakowie. W sierpniu tegoż roku zawiązał wraz z przyjacielem swym Janickim *Towarzystwo wzajemnej nauki* między młodzieżą akademicką. Celem stowarzyszenia, podzielonego na sekcye według gałęzi nauk, było pisanie rozpraw, odczytywanie ich na ogólnych i szczególnych zebraniach, utrzymywanie czytelnicy akademickiej, tudzież nauczanie młodzi rzemieślniczej. Młocki skreślił statut towarzystwa i rozprawy o jego celach. On, Teofil Lenartowicz i kilku innych byli kolejno tego towarzystwa prezesami. W styczniu 1849 r. rozwiązało się towarzystwo, w skutek ogłoszenia stanu oblężenia. Młodzież akademicka stowarzyszona, przez pięć miesięcy istnienia towarzystwa, napisała kilkadziesiąt rozpraw naukowych, a z grona tego wyszło kilku pisarzy znanych dziś w literaturze. W r. 1848—49 był przez krótki czas aplikantem trybunału krakowskiego, później praktykantem przy namiestnictwie w Krakowie. Zdarzyło się że przy końcu kwietnia r. 1850 znaleziono u jednego z literatów karteczkę, na której w chwili zartu Młocki, Chorubski i dwaj inni podpisali zobowiązanie, iż w lat dziesięć później, to jest r. 1860, zejdą się pod wieżą Maryacką i opowiedzą sobie wzajem przygody życia. Ta niewinna karteczka obudziła podejrzenie, i Młocki z drugim dostali się na zamek, pozbawieni przez dwa tygodnie swobody. Dnia 6 maja 1850 r. uwolniony z aresztu, jednakowoż odalony został z urzędu. Natenczas przeniósł się do Lwowa, gdzie z początku pracował przy towarzystwie agronomicznym, później przy towarzystwie kredytowym. Słabe zdrowie i początki piersiowej choroby, zmusiły go osiąść na wsi u babki, a później szukać porady za granicą. Choroba zjawiała się i ustępowała, ale powroty jej bywały coraz silniejsze. W lecie 1858 r. zmieniły się stosunki Włodzimirza. Znaczny majątek, który nań spadł po babce Borzęckiej, uczynił go niezależnym. Roit on wtedy, jakimby sposobem mógł być krajowi najbardziej użyteczny, rozwijał plany i zasięgał rady przyjacielskiej. Wkrótce kupił dobra Kujawy za 350,000 złp. Czuł wtedy wartość życia i rad był odzyskać zdrowie, aby wystąpić czynnie i działać. Na dawaną atoli radę, by póki chory, porzucił kraj i gdzie na południu zamieszkał, odpowiadał: iż poza krajem ojczystym niema życia, że nie zdoła porzucić ziemi ojczystej; mimo więc iż przeczuwał los swój, został w kraju i przezimował w Warszawie. Sprawy publiczne wstrząsły organizacją wątlą, piersiowa choroba kilkoletnia postępowała zastraszająco, co poznawszy, zrobił testament i zapisał cały majątek na ubogich a dobrze uczących się uczniów spodziewanego uniwersytetu warszawskiego. Młocki pracował na polu literackim, o ile mu wątlę siły dozwalały. Pisał poezye, uczuciowe, namiętne, pełne zapala i energii. Pracował też

nad ekonomią polityczną. Ostatnią jego pracą był przekład dzieła znanego ekonomisty Bastiat p. t. *La ligue*. Młockiemu zawdzięcza wiele przyszła szkoła główna warszawska, bo otrzymała od niego pierwsze stypendya, i to znakomite, bo przykład Włodzimirza pociągnie za sobą może i tych, którzyby mogli i powinni więcę świadczyć aniżeli on. Szlachetne serce, prawość niepokalana, wygórowane uczucie miłości kraju, otwartość bez zółci, słowem wszystkie najpiękniejsze przymioty serca były znamieniem Włodzimirza. Nie wezmą mi za złe czytelnicy Tygodnika *Illustrowanego*, że tyle o nim piszę. Tacy ludzie są wyjątkowi, nie można więc o nich nigdy mówić zawiele, bo podobnych jemu należy zawsze i wszędzie drugim stawiać za przykład. Odsłaniając stronę poetyczną duszy Włodzimirza, przytaczam wiersz jego, który napisał przyjacielowi swemu K. E. w imioniku:

Bracie! tobie się świat ten uśmiecha wesoło,
Złote marzenia roisz i gonisz za niemi,
A dla mnie się skończyło moich marzeń kolo,
Dla mnie pusto i smutno na tój biędnej ziemi.

A więc, bracie! uciekaj, stroni od samotnika,
O! bo tobie żyć jeszcze na świecie śród ludzi,
A moje serce, smętne jak pustynia dzika,
Ostatnią w tobie iskrę złudzenia wystudzi.

Pamiętki chcesz? ha! jakąż pamiętkę da tobie
Ten, który wszystko stracił, nawet i nadzieję,
Który w nic już nie wierzy, z wszystkiego się
I o niczém nie marzy, jak tylko o grobie? [śmieje

„Tak młody, i już wątpić, myśleć o mogile—
Szaleństwo!“—powiesz może. Więc odpowiem tobie:
Czyś płakał na najdroższych marzeń twoich grobie?
Czyli doznałeś, jak ja, boleści, męk tyle?

O bracie! czyś ty zasnął co to jest *czczość życia*?
Za marzeniem swęj duszy wiecznie tęsknić, wzdry-
Za marzeniem swęj piersi gonić od powicia, [chać,
Wiecznie pragnąc i wiecznie z pragnienia usychać?

Czy wiesz, co młodą piersią trącać o granity,
Być jak błędny wędrowiec na Sahary stepie,
Lub jak żeglarz na morzu spienioném rozbity,
Sam jeden!... Tylko czasem, tam na niebios sklepie,
Wśród czarnych chmur całunu błysnie gwiazdka złota,
I noc straszną promieniami rozświeci swojemi,
I wściekły wiecher kruchą łódką twoją miota,
I ujrzysz się sam jeden na tój wielkiej ziemi!

Żadna dusza czująca na morskiem przestworzu,
Zewsząd ci grozi tysiąc sposobów zepsucia,
Westchnienia twoje giną w rozhukaném morzu,
O bracie! znasz ty, co to *samotność uczucia*?

Duch pełen ognia, żaru, tysiąc marzeń snuje,
Cały światbyś zapelniał myślami swojemi,
A nikt cię nie rozumie, nikt cię nie pojmuje,
I jesteś jako waryat pomiędzy trzeźwemi.

Z litością patrzają na cię, tak jak na waryata,
Jeden drugiemu mówi: on chory, majaczy;
I żyjesz na tym świecie, jak z innego świata,
Świat ten, ludzi i siebie—przeklinasz w ros-
[pacy.

Tak żyjąc, jeśli wiary nie utracisz w siebie,
To w ciągłej walce z światem stracisz wiarę w ludzi;
Wszystkie gwiazdy pobledną na duszy twęj niebie,
Jak step pusty, bezludny życie ci się znudzi.

Oto bracie masz *wierny* obraz mego życia;
Ty jeszcze nie przeszedłeś tych wszystkich kolej,
Dla cię jeszcze daleka godzina rozbitcia,
Szcześnieśliwys! boś ty jeszcze nie zęgnął nadziei.

O! tobie jeszcze przyszłość uśmiecha się złota,
W życiu swém znajdziesz ciernie, lecz znajdziesz i różę.
Mnie kwiaty pozrywały młodości mój burze,
Cierni i chwasty zostały na drodze żywota.

A więc z zglem-złudzeniem i wiarą-kotwicą,
Kieruj łódź swą szczęśliwie po tój morzu życia,
Nadzieja niech ci będzie gwiazdą-przewodnicą,
A być może iż bracie unikniesz rozbitcia.

Więc zęgnam cię i życzę szczęśliwej podróży;
Moja gwiazda już zgasła i żagiel stargany,
Więc *zimno*, obojętnie wyglądam dziś burzy
I niedbam gdzie mnie morskie zaniosą bałwany.

A więc bracie, być może, *wkrótce się rozdzielim*,
Gdy wspomnisz błogą przeszłość wśród walki
[z tym światem,
Wspomnij o mnie, jam wówczas twoim przyja-
[cielowem,
A dzisiaj, pozwól, niech ci będę tylko—bratem.
d. 30 czerwca 1849 r.

Te poezye nie są sztucznym bajronizmem, ale wyrazem rzeczywistych jego usposobień. Zimny, obojętny na pozór, gorzał pożerającym go płomieniem. Rok 1847 był stanowczym w jego życiu i wpłynął na jego usposobienie, malujące mu świat z ujemnej strony; mimo to miłował go tak, jak miłował kraj ojczysty. Pokój jego popiołom, pokój cieniem najzaczniejszego, najszlachetniejszego człowieka!...

Pisząc o zmarłych mężach, nie wspomniałem dotąd o Feliksie Radwańskim, byłym profesorze budownictwa, zgasłym dnia 15 października 1864 r., urodzonym 5 stycznia 1789 r. Był napoleonista, później budowniczy w Krakowie, pierwszy podał projekt budowy mogiły Kościuszki, plan jej wypracował i sypania dopilnował. Jemu to winien Kraków za projektowanie i urządzenie najpiękniejszej części plan-tacyi. Wydał dziełko *Nauka budownictwa*, Kraków 1842 w 4ce str. XXXIV 260, z 68 tablicami. Dziełko to, dziś rzadkie, jest bardzo szacowne, bo ustaliło terminologią budowniczą. Pisał także rozprawy: *Nauka polychromii architektury starożytnej*, 1837 w 4ce (w progr. uczn. szkoły techn.); *tudzież Ustanowienie proporcji dla sześciu porządków architektury greckiej*, 1829 r. (rękopis w Bibl. tow. nauk). Mowę na jego pogrzebie miał ks. Henryk Książarski. Inny był Feliks Radwański ojciec, budowniczy, professor i senator, który również kilka pożytecznych dzieł i rozpraw pozostawił.

O nowościach literackich niewiele mam ci do doniesienia. Bernard Kalicki napisał historią polską dla ludu, którą drukuje Karol Wild swoim nakładem; tegoż nakładem wyjdzie Bukla: *Historia cywilizacyi Anglii*, przełożona przez Wład. Zawadzkiego. Również nakładem Wilda wyjdzie Lelewela: *Opowiadanie stryja synowcom*; dziełko to upupełnił Luc. Tatomir w ten sposób, że dodatki odmiennym drukiem będą wyróżnione. Karol Wild zamierza również nakład dwutomowej historii literatury, tudzież geografii dla dzieci; nad ostatnią pracuje Luc. Tatomir. Wild jest jedynym nakładcą na całą Galicyę, tak jak jest jedynym Żupański na całe Poznańskie. Wład. Zawadzki wydrukował okolicznościowe pisemko: *Jakie powody miał autor „Studyów historycznych nad rewolucyą francuzką“, do przedsięwzięcia tój pracy i skręślenia dzieła, które w r. 1857 wyszło z druku w Paryżu*. Lwów 1862, str. 16 w 8ce druk Korn. Pillera. Dziełko to, Feliksa Czackiego, było już ocenione w kolumnach Czasu. Pisania w obcym języku nie usprawiedliwić nie zdoła, wyjąwszy jeżeli wymagają tego względy wyższego dobra.

Henryk Szmitt, niezmordowany pisarz, wystąpił z broszurą: *Narodowość polska, jej podstawy, rozwój dziejowy, oraz stosunek do chwili obecnej*. Lwów r. 1862, str. 88. w 8ce. Szmitt zamierza w marcu odwiedzić Warszawę. Zanim go poznacie osobiście, poznajcie z oddali. Urodził się r. 1817 we Lwowie. Za młodu utraciłszy rodziców, oddany własnym siłom, trudnił się to guwernerką, to gospodarką. Nieobznajmiony dostatecznie z językiem polskim, łamał się początkowo z trudnościami, co widać jeszcze w pierwszych pracach jego, zepsutych stylem ciężkim, wysubradzającym się z więzów germanizmu. Najpiękniejsze lata młodości przepędził za murami fortecy, skazany będąc pierwotnie na śmierć. W r. 1848 uwolniony, wydrukował kilka sonetów w Krakowie, a zapowiedział we Lwowie druk stu kilkadziesiątu innych. Uwięziony, pisał tragedye wierszem: *Zdzisław i Bracia niezgodni*. Pierwsza zachowana jest w bibliotece Raczyńskich we Lwowie. Rozpoczęcie zawodu literackiego wierszami, jest zawsze korzystnym dla pisarza, bo go zmusza do przełamania form językowych, do urabiania stylu, do władania dowolnego językiem. Szmitt rzucił się wkrótce do studyów dziejowych i wydał trzytomowe, jeszcze nieukończone dzieło p. t. *Rys dziejów narodu polskiego*. Następnie wydrukował dziełko: *Materyały do dziejów bezkrólewia po Augustie III; Pogląd na żywot i pisma Kollataja; Rokosz Zebrzydowskiego; Rzut oka na nowy projekt bezwarunkowego uprawnienia Żydów; Słów kilka bezstronnych w sprawie ruskiej*. Obecnie kończy druk ostatniego zeszytu dzieła: *Dzieje narodu polskiego*, krótko i zwięzle opowiedziane. Pracuje także nad skręśleniem panowania Stanisława Augusta.

Janowski Włodzimierz wydał broszurę: *Jakim sposobem podnieść przemysł i fabryki w Galicyi i w ks. krakowskiem, aby osiągnąć bogactwo krajowe?* Lwów, 1862 r., w 8ce str. 16. Drugą broszurę, dopowiadającą przedmiot, wydać ma niebawem. Professor Żmurko drukuje drugi tom matematyki. Professor Feliks Strzelecki, oceniając to dzieło w *Dzienniku literackim* r. b., nazwał je *genialnym* i unos

się nad pomysłami naszego matematyka. Gdy całość wyjdzie z druku, znajdą się zapewne odpowiedzi krytycy i ocenia dzieło. Professor Maks. Nowicki wydał dzieło o motylach; poprzednie wydał po łacinie, czem nie uczynił krajowi przysługi. Książd Antoni Miśiewicz, pleban w Przybyszówce, drukuje w Rzeszowie u Pellara dziełko w 1 tomie p. t. *Przyjaciel pszczół*, książka dla podźwignięcia krajowego pszczolnictwa napisana. Książd ruski Sofroniusz Witwicki wydaje dramat tendencyjny polityczny p. t. *Myłość i zgoda*. Podobnie tendencyjnym jest niewydany ruteński melodramat bezimiennego autora p. t. *Protest*, w którym występują deputowani lwowscy. Od 1 kwietnia wychodzić ma *Przegląd lekarski* w Krakowie, pod redakcją profesorów uniwersytetu J. Majera, Fran. Skobla, J. Dietla, Bryka i doktora Zieleniewskiego; zaś we Lwowie ukazać się ma od połowy marca *Gazeta narodowa*, pismo polityczne, wydawane w 4ce dwa razy na tydzień, pod redakcją Karola Stupnickiego, syna Hippolita.

W maju wyda Henryk Nowakowski, pisarz sceniczny, *Album lwowskie*, złożone z prac więcej niż trzydziestu literatów lwowskich. Dziełko to będzie niejako wyrazem umysłowości stolicy prowincyi. W album tém mają złożyć swoje prace: Ksaw. Abancourt redaktor Dziennika pols., Aug. Bielowski, Kar. Ciszewski redaktor Czytelni dla młodzieży, Jan Dobrzański redaktor Dziennika literackiego, Ksaw. Godebski kustosz biblioteki Ossolińskich, Nereusz Hoszowski tłumacz dramatu Houwalda, Józef Jakubowicz autor drobnych obrazków umieszczanych w Dzienniku literackim i Nowinach, Zygm. Kaczkowski, Bern. Kalicki, Ignacy Komorowski autor wspomnień z r. 1834 w rękopiśmie będących, Platon Kostecki poeta rusiński i współpracownik Dziennika polskiego, Antoni Małcki profesor (udzielił ma rozbiór Maryi Stuart Słowackiego), Henryk Nowakowski, Stanisław Pilat pisarz sceniczny i autor Nauki stylu (w rękopiśmie), Ad. Pajert wyborny tłumacz Bajrona i Szekspira, Win. Pol, Stan. Przyłęcki bibliograf, Mieczys. Romanowski autor tragedyi Popiel II i kilku poematów, Henryk Szmitt, Jul. Starkel powieściopisarz i redaktor Dzwonka, Józef Supiński, Al. Szedler współredaktor Kółka rodzinnego, Józef Szujski bawiący obecnie we Lwowie, Korn. Ujejski, Jan Wagilewicz historyk i dopełniacz Lindego, Fran. Waligórski współpracownik Gazety lwowskiej, Karol Widmann pracujący nad statystyką Galicji, Hip. Witowski, Jan Zachariasiewicz, Wł. Zawadzki redaktor Przyjaciela dzieci—i kilku innych bezimiennych. L. R.

BORUTA.

(Dokończenie).

II.

W ciemnym lochu łączyckiego zamku, przy rozpalonej drzazdze smolnej, siedział na beczce jakiś wąsaty szlachcic i pił z antalka. Miał na sobie karmazynowy zupan, pas złotolity, na rzemieniu szabły; czapka rogatywka z siwym barankiem nie przylegała mu należycie, jakby coś jej zawadzało; jakoż kiedy chciał się poskrobać po głowie, ujrzał przy ręku pięć ogromnych pazurów, a za uchYLENIEM czapki, małe czarne rogi. Był to diabeł, pan Boruta, co pilnował skarbów zaklętych w zamku, pozostałych w ukryciu od dawnych udzielnych jeszcze książąt mazowieckich. Twarz miał wielką, rumianą; wąs potężny, obwisły, spa-

dał mu wraz z brodą na piersi; wzrostu wielkiego, szeroki w plecach, oczu iskrzących. Zachmurzony siedział na wypróżnionej beczce po małmazji (**), ale

lę wysącze. Zresztą myślę, że nikt się teraz nie pozwoli zajrzeć do tych skarbów, a jakoś tu tęskno i nudno. Sto lat tak siedzę na jednym miejscu, gdzie zawsze ciemno, chłodno, ponuro; a na świecie słonko świeci, ptaki i ludzie wesoło śpiewają, kapele brzmia, szlachta ucztuje rada. Trudno wytrzymać dłużej! *Hulaj dusza bez kontusza!* Zamknę loch i przejdę się po świecie: trzeba jeno ubioru co poprawić, aby dobrze przyjęto gościa.

U szlachcica Kaliny, o milę od zamku łączyckiego, we dworze ponad błotami i jeziorem, brzmia huczna kapela, wydaje on bowiem za męża najstarszą córkę.

Ćma krewniaków i sąsiadów napelniła całe domostwo; beczki z miodem, piwem i wódką stały w sieni, na ganku, w izbach, bo pan Kalina, zamożny szlachcic, dziedzic całej pół wioski, dobył wóru z zapleśniałymi talarami, nie żałując wydatku na tak wielką dla siebie uroczystość. Już było po ślubie, wytoczono dzieżę od chleba, aby na niej pannę młodą oczepić, a kapela zaczęła brzmieć pieśń starą o chmielu, znaną nie tylko na Mazurach, ale w całej Polsce, kiedy we drzwiach ukazał się nowy gość niespodziewany.

Ubrany był w karmazynowy zupan, pas złotolity, czapka rogatywka z siwym barankiem, na rzemieniu szabla, rękawice czarne, buty z wywijaną cholewą i ogromnymi ostrogami. Jak stanął we drzwiach, całe zawalił; kiwnął głową, nie zdejmując czapki, przeszedł dalej i usiadł na ławie.

Kapela grać przestała, pieśń chmielowa ochotnikom na ustach skonała, niewiasty przerażone tulili się do kąta. Gospodarz, ujrawszy na wszystkich twarzach pomieszanie, zbliżył się do nieznanego i rzekł:

— Panie bracie! zawsze możecie u mnie jeść chleb z solą, byle z dobrą wolą; ale nateraz nie proszę waszeci... więc...

I wskazał drzwi otwarte.

Niezajomy pokręcił głową, na znak że nie wyjdzie, i wybąknął od niechcenia:

— Pić.

Pan Kalina kazał podać gąsior z miodem i czarę, rzucił na ziemię, przytknął do ust gąsior i wypił go do kropli. Szlachta łączycka klaszcze z radości, wołając: to nasz brat! to nasz brat!

Niezajomy uśmiechnął się wesoło, pokręcił wąs w górę i aż za uszy założył, a widząc beczkę miodu, porwał ją, postawił na stole, czop wyrzucił i rozdziawił paszczę, lykając strumień napoju z szumem tryskający.

Wszyscy z podziwieniem otoczyli wieńcem nieznanego; niewiasty i panny postawały na stole i ławach, patrząc na pijaka. Niezajomy lykając, sapiąc tylko nosem; wkrótce uniósł beczkę, potem dobrze przechylił, aż w końcu niema miodu, wszystko wytrąbił gracko.

Wtedy połową wąsa otarłszy z piany usta i brodę, krzyknął: *kapela! chmiela!* i porwał za rękę pannę młodą. Wrzasnęła przestraszona dziewczoja, a gdy ją ciągnie, nie zważając na jej trwogę, staje w obronie narzeczonej pan młody i wyzywa zuchwalca na szablę.

Niezajomy ociągał się, ale gdy mu nowożeńiec wyciął policzek, że zaledwie przytrzymał czapki na głowie, a od innej szlachty poczuł na karku silne razy, zawołał: *po jednemu! po jednemu proszę z sobą w taniec!* I wyszedł na podwórze. Zawyły psy, jakby wilka poczuły; szlachta wybiegła za nim, żeby nie uciekł; zapalono łuczycywa,



D. ruta w lochu zamku łączyckiego. (Pomysł i rysunek Kossaka).

kiedy miał się uśmiechnąć, wąs podkręcał w górę i aż za duże uszy sterczące zakładał.

— Już dosyć wysiedziałem się w tém loszysku ciemnym i wilgotnym (mówił do siebie Boruta); nie-



Uniósł beczkę i wysączył ją gracko. (Pomysł i rysunek Kossaka).

ma co i pić dalej, ostatni antalek węgryna za chwilkę (**). Mocne wino węgierskie.

wyniesiono świece i zajaśniał podwórzec, jakby od słońca w południe.

Nieznamy dobył szabli i spojrzawszy iskrawym wzrokiem, gdy pan młody krzyż święty na ziemi swoim kordem znaczył. Aż się skry sypnęły za złożeniem szabli: nieznamy dobrze się bronili, znał krzyżową sztukę, ale pan młody zresztą nacięła; widząc zaś że mu nie podoba, przerzucił z prawej ręki kord w lewą, czem odurzony przeciwnik, nie dostrzegł cięcia i oberwał potężnie po ręce. Obciął mu dwa palce, spadła czarna rękawica, nieznamy wypuścił z zakrwawionej dłoni szablę, aż tu kur pieje.

Stęknął ranny, podskoczył i znikł z koła otaczającej go szlachty, zostawiając na ziemi pas złotolity, rękawicę zbrozoną i szablę. Gdzie stał, zakipiało tylko trochę smoły, a gryzący zapach siarki uderzył we wszystkie nosy.

Pan Kalina podnosi pas, porywa rękawicę, trząsa: wypadają dwa wielkie pazury z kawałkami palców. Pan młody patrzy na szablę: to pogański niemasz na niej znaku krzyża świętego, tylko księżyc turecki. I wołają wszyscy: *Boruta! Boruta!*

W ciemnym lochu łączyckiego zamku, przy rozpalonej drzazdze smolnej, wsały szlachcic w karmazynowym żupanie, bez pasa i szabli, czapka rogatywka, ale z pocięciem sukniem i siwym poszarpanym barankiem, leżał na dwóch próżnych beczkach, liżąc rękę okalęczoną, z trzema potężnymi pazurami, bo dwóch brakło, i tak prawil do siebie:

— Nie wyjdę już więcej na świat. Rano dobrze było, kiedy się wygrzał na słońcu; ale wieczorem cóż zyskałem z tą przeklętą szlachta, z tymi piskorzami, co klaskali jakiem pił gracko, a potem wyzwali na rękę? Myślałem że im przecie podolałem, ale oni lepiej robią kordem jak sam diabeł. Zgubiłem pas i szablę, dwa pazury, pocięli mi czapkę, skaleczyli rękę, a co najgorsza, poznali że Boruta obciął.

I kręcił ze złości wasy, darł brodę, a liżąc rękę zranioną.

Odtąd już więcej z lochu zamkowego nie wyszedł łączycki diabeł.

Jak widzimy z tych podań, Boruta był w swoim charakterze szlachcicem, lubo zawsze zachował wyraźnie piętna prawdziwego diabła. Z ludem mało się wdawał, chyba żeby mu psotę wyrządzić, napędzić strachu i lzy nieraz wycisnąć; ale ze szlachta, to za pan brat radby się bawić i weselić. Pił lepiej jak najtęższy piskorz—wybornie się rąbał—ale znalazł lepszego od siebie gracza.

Źródłostów jego nazwiska wskazuje, że pierwiastkowo ród swój wywodził z ciemnych borów: dawne ludowe podania wspominają nawet o diable *Borucie*, co zamieszkiwał gęste lasy i puszcze nieprzebyte. Nasz jednak Boruta widać nie lubił cichiej ustroni borowej, bo przeniósł się do lochów łączyckiego zamku, z kąd bliżej było ludzi, a szczególnie szlachty, za której towarzystwem tęsknił, dopóki mu krwawej nauki nie dała. Chociaż ubierał się po szlachecku, przymioty właściwe diabłu zachował wyraźne; dlatego przybierał na siebie postać sowy, owego ptaka co był wróżbitą śmierci. Lubiał wylegiwać się w starym piecu i przesiadywał ochotnie w wypróchniałej wierzbie. (*)

(*) Z tych przesądów ludowych mamy przysłowia:
„W starym piecu diabeł pali.”
„Zakochał się jak diabeł w suchej wierzbie.”

Dzisiaj na osuszonych błotach pod Łęczycą już nie straszy i nie zwodzi Boruta podróżnych kmiotków, nie zaciąga ich w trzęsawiska i topiele. Wspaniały niegdyś zamek łączycki poszedł w ruinę; z gruzami wszelako starego gmachu zespoliły się imię i pamięć sławnego niegdyś diabła.

K. Wł. W.

zanie zaś do kraju z każdym rokiem wzrasta i serce wiernym mu pozostaje aż do ostatniego uderzenia.

Żyć na ojczystej ziemi, dzielić jej błogie i smutne chwile, czcić jej święte pamiątki i poić duszę widokiem jej wzgórz skalistych, nieprzejrzanych błoni i ciemnych borów, jakież to dla człowieka szczęście!...

Są jednak zimne istoty, które goniąc za skrawkiem znaczenia, garścią złota, szalem rozrywek, rzucają obojętnie rodzinną strzechę, żyjąc pod obcym niebem, bez troski, żalu i tęsknoty. Są ludzie idący pod godłem *ibi patria ubi bene...* Cóż w tym dziwnego? chwast na każdej ziemi wyrasta.

Ale powiedz mi, dziarski młodzieńcze czytający te słowa: powiedz mi, lube polskie dziecko, czy opuścilibyście rodzinną kraj nazawsze? czy zmuszeni do tego nieprzyjaznym losem, nie uschlibyście w cudzej stronie, jak polne kwiaty zerwane swawolną ręką dziecięcia i porzucone w kurzawie gościńca? Wszak prawda, że ta ofiara przechodziłaby wasze siły.

Uczucie to piękne, chociaż ogarnia cały obszar ziemi, przez plemię jednej mowy i jednej przeszłości zamieszkały, przecie silnie zwraca się ku stronie gdzie człowiek pelzał dziecieniem, gdzie uroczą przemarzył młodość. Ten ukochany zakąt ojczyzny przynosi on nad inne, chociaż wszystkie gorąco miłuje; nie dziwiecie się więc że góralowi tatrzańskiemu miłsze strone wirchy i bezdenne przepaście, niż gma-

chy miast waszych— że Litwinowi zdaje się że niema rzeki jak Wilia, a drzewa nigdzie tak nie szumią jak nad brzegami Niemna i Niewiaży; nie dziwiecie się że Ukraińiec szaleje za stepem, Mazur lubuje się w swoich piaskach, Pińczuk w nieprzebytych bagnach, a Żmujdzin w ryku bałtyckiej burzy. Nie dziwiecie się gdy nuta rodzinnej piosenki wstrząśnie jak prąd galwaniczny całym jestestwem Krakowiaka; on tajemną lę ociera — nie przerywajcie mu cudnego marzenia, bo jego dusza unosi się wówczas ponad wieżycami ukochanego grodu.

Niedawno Wielkopolanin pukał do serc waszych, kreśląc zajmujące obrazy swych stron rodzinnych; dziś ja wam przynoszę równiankę z kwiatów uszczkniętych u stóp Wawelu, na krakowskiej ziemicy.

Czy potrafię znaleźć współczucie dla mych stron rodzinnych, czy zdołam wmówić w was że to najpiękniejsza część starej Polski, że ten lud dziarski zasługuje na waszą serdeczną miłość — nie wiem — ale lubię marzyć o tej skarbnicy narodowych pamiątek, lubię rozpowiadać o tej osierociałej córce Syonu; chciałbym zachęcić wszystkich do jej zwidzenia — do modlitwy na grobowcach, do ukochania jej starożytnych murów.

I.

Na dziesięcio-wiekowej przeszłości wsparty, przeżywszy długie lata szczęścia i dłuższe niedoli, stoi niewzruszenie osamotniony starzec, oczekując przyszłych losów z tym spokojem, z tą godnością i rezygnacją, z jaką senator rzymski oczekiwał na forum przyjscia hord Brennusa.

W poświęceniu dla kraju nigdy nie dał się wyprzedzić innym jego grodom; w szczęściu skromny, w upadku wielki, pamiętał że go Bóg wybrał na kilkowiekową potężnego narodu stolicę.

Pustoszyli go Tatarzy, lupili Czechi i Szlązaki, oblegali Węgrzy i Rakusianie, rozpierali się w nim Szw-



Pan młody przerzucił nagle kord z prawej ręki w lewą i obciął Borucie dwa palce. (Pomysł i rysunek Kossaka).

OBRAZY KRAKOWSKIE.

Nad wszystkie uczucia, jakie wypełniają serce człowieka poczciwego, góruje przywiązanie do ojczystej ziemi. Silne i niepożyte, trwałe i wzniosłe, namiętne a szlachetne — jestże inne któreby mu sprostało?

Miłość, ta woń wiosennych kwiatów, puścizna z ra-



Wróciwszy do swego lochu, leżał na próżnych beczkach, liżąc rękę okalęczoną. (Pomysł i rysunek Kossaka).

ju, tchnienie aniołów, umiera z pojawieniem się zmroku życia i tylko jak lampa pompejańska, migotliwym błyskiem wspomnienia świeci niekiedy w zakrzepłej piersi starca.

Węzeł przyjaźni, zadzierzgnięty śród szkolnych murów, w uścisku dwóch dusz niewinnych, nieraz w późniejszych latach miecz namiętności rozcina; przywią-

dzi i Siedmiogrodzianie, utracił w tych kłeskach wszystko—oprócz mężstwa, cnoty obywatelskiej i przywiązania do kraju.

Kraków składał niegdyś część Świętopelkowego państwa wielkiej Morawii; lecz gdy Madziarowie zgromadzili tę potężną budowę, Białochorobacy czyli ziemia białogórska przeszła pod panowanie dziada Mieczysława I. Odtąd na chwilę zapanowali tu Czesi; lecz szczerbiec Bolesława Wielkiego połączył tę ziemię z nowopowstającym państwem Lechitów, i Kraków stał się nierozłączną częścią dawniej Polski.

Pierwsza jutrzienka przysięgi wielkości zajaśniała nad miastem za króla-wygnańca. Dawniej osadnicy germańscy, zwabieni tu przez monarchie swojego rodu, uprzywilejowani przez Leszka Czarnego, wypierali z murów Krakowa pierwotnych jego mieszkańców i wiązali się z obcymi książętami, na zgubę Polski;—ale Łokietek stał ich dumę i powrócił miasto krajowi.

Każmirz Wielki otoczył Kraków murami, ozdobił wspaniałymi świątyniami i akademią w nim r. 1364 założył. Musiał to być król dobry, bo włóścianie krakowscy i lud miejski ubogi czczą jego pamięć i z poszanowaniem wspominają jego imię po dzień dzisiejszy.

Tu żyła piękna Jadwiga; na murach kościoła karmelitów, dziś jeszcze lud ogląda ślad jej dziecinnej stopki wyciśnięty w kamieniu. Zaślubiny Jadwigi i Jagielly odbyły się w katedrze krakowskiej, a z niemi ślub dwóch wielkich narodów.

Wzmógł się Kraków i zaludniał za dwóch pierwszych Zyguntów. Handel jego sięgał wschodu i zachodu Europy. Zwano go wtenczas małym Rzymem, bo z siedmdziesięciu kościołów codziennie dzwony wzywały na modlitwę wiernych. W owym to czasie z wieży katedralnej po raz pierwszy wypłynął potężny głos Zyguntów. Nie ogrom, nie wspaniałe dzwony, ale głos jego cudny, harmonijny, przenika duszę do głębi;—głos ten tchnął w pierś Wasilewskiego piękny śpiew o dzwonie wawelskim:

Słyszycie?—w Zyguntów dzwonią!...

Powietrze wstrzęsły rozdźwięki,
I ciężkie, poważne jęki
Falami Wisły się gonią,
W miedziane dachy uderzą,
Wala się w ulice miasta,
Aż się po rynku rozszerzą.
A huk się wzmaga—podrasta,
Drżący wlatuje nad wieżą,
Słuchałem długo...

A dzwon mi mówił powieści,
Jak wiele razy w przeszłości
Brzmiał rozgłosami wielkości,
Tryumfu, wesela, chwały
I takim jękiem boleści,
Że go dwa morza słyszały!
On mówił: „Mam pierś spiszową,
Jak piersi mego narodu!
Serce żelazne—jam głową
Wszystkich dzwonów tego grodu;
Serce żelazne—gdy go burza czeka,
Serce żelazne—gdy się dąsa piekło,
A jednak serce wielkiego człowieka;
Bo choć tak wiele uczuć z niego ciekło,
Tak wiele uczuć tajemnie w pierś biło
I wiekuista pleśń na niej osiadła—
Jednak uczucie łona nie stopiło
I rdza mi serca nie zjadła!
Ja czuję za wszystkie dzwony,
Pamiętam za wszystkie księgi,
Gdy brzące wyrzucę tony
I wspomnień roztoczę wstęgi.“

Tak mówi pieśniarz, dziecie Krakowa, który z rozkoszą i zachwytem wsłuchiwał się w te czarowne hymny, jakie Zygunt w dniach wielkich uroczystości kościelnych lub krajowych wznosił z świątyni królów. Niestety! pieśni tryumfu niewiele głosił dzwon Zyguntowy, bo od śmierci Batoiego jedna kłęska po drugiej zwały się na Kraków.

Rakuszanin, sięgając chciwą ręką po Jagiellonów puściznę, obległ stolicę, a chociaż jej nie dostał, obszerne jednak przedmieścia w popiół obrócił. Oddany był Kraków duszą całą Zyguntowi III, który odwdzięczając miastu poniesioną w obronie praw jego kłeskę, zdarł chorągiew królewską, od sześciu wieków na murach Wawelu powiewającą, i zatknął ją na murach Warszawy, poniżył akademią krakowską i zaszczepił niezgodę fanatyzmu pomiędzy mieszkańcami starego grodu. Niedosz na tych kłeskach: wnet pomór i Szwed zagospodarowali w stolicy, dwukrotne powietrze wydarło Krakowowi 70,000 mieszkańców, dwukrotny najazd Szwedów do ostatniej przywiódł go nędzy i „siadło osierociłe miasto, samo,

niegdy pełne ludu, stało się jakby wdową pani narodów.“

Czasy konfederacji barskiej nowe kłęski sprowadziły na Kraków. Z 80,000 mieszkańców za Zyguntów Staroego, zaledwie 5,000 przy schyłku XVIII wieku liczone, i gród który królom zgromadzonym na wesela wnuczki Kaźmirza złociste wety rozdawał, sam przyjął roczną jałmużnę trzystu dukatów od Stanisława Augusta, dla uniknięcia ostatecznego upadku. Po całkowitym rozbiórce kraju, rząd austriacki, otrzymawszy Kraków, wiele jego wspaniałych świątyni na magazyny wojskowe przemienił, albo rozwalił kazal.

Pomyślniejsza nieco dola zabłysła dawniej stolicy Polski, gdy w roku 1845 ogłoszono ją miastem wolnym. Przez lat trzydzieści swobodnego bytu, Kraków wzrastał i zaludniał się coraz więcej, kiedy wypadki roku 1846 i pożar roku 1855 znowu mu zagroziły. Wsparty wdowim groszem rodaków, odrodził się wprawdzie z popiołów; ale świeżo doznane kłęski, upadek handlu; niski kurs banknotów i nadmiar ciężarów publicznych przywiódł miasto do stanu, z jakiego trudno dziś wróżyć czy ono wzrośnie jeszcze kiedy, czy wciąż chylić się będzie do upadku.

Piękny to gród, nawet w stanie dzisiejszego odrętwienia; każdy syn tej ziemi, co go jeszcze nie widział, powinien udać się doń w pielgrzymkę, jak chrześcijanin do Rzymu, jak Mahometanin do Mekki, pomodlić się w jego świątyniach i uczcić relikwie nagromadzone w tym Panteonie. Tutaj co krok napotka oko jakiś starożytny zabytek, co krok ucho usłyszy jakieś tradycyjne wspomnienie, a każdy kamień ma coś do opowiedzenia wędrowcowi.

Skalisty Wawel dźwiga na szerokich barkach odwieczny zamek, w grobowcach spoczywają pod marmurem i spżem prochy monarchów, biskupów, hetmanów i senatorów. Bolesław Kędzierzawy rozpoczął szerereg ukoronowanych nieboszczyków; August drugi legł tu ostatni; obok królów śpią pod sklepieniami katedry rycerze z pod Maciejowic i Elstery.

Z zamkowej góry cudny rozciąga się widok. Skalistą podstawę Wawelu zmywa wartki nurt Wisły; w zwierciadlanych jej toniach odbijają się białe mury zwierzynieckiego klasztoru, mury ciche, jak żywot błogosławionej córki Odrowążów, co w tém ustroniu pobożne pędziła lata.

Po za klasztorem, na wzgórzu, stoi samotny kościół świętego Salwatora, jeden z siedmdziesięciu zbudowanych przez Piotra Duńczyka, obrońcę krzywd ucieszonych synów Bolesława Krzywoustego. Za nim ku wschodowi piętrzy się coraz wyżej góra Bronisławy, a szczyt jej wieńczy mogiła usypana ludzką ręką przed czterdziestu laty, ku pamięci odległych wieków.

Cudne to było ustronie — było, ale niemi nie jest. Niedawno jeszcze mogiłę otaczał wieniec smukłych topoli, niedochodzących nawet połowy jej olbrzymiej wysokości; dziś ścisła ją boleśnie kamiennym kręgiem mur forteczny. Niedawno u stóp jej rozścielał się Sikornik, gaj poświęcony, w którym św. Bronisława długie godziny na modlitwach przepędzała; dziś topór wyciął drzewa, a ręka ludzka nie przepuściła samemu wzgórzu i niszczącą siłą prochu poszarpała w szmaty jej pierś skalistą. Niedawno stała tu kapliczka bieluchna, a przy niej pustelnia, w której mieszkał samotnik, żołnierz z pod Szczekocin; dziś pustelnia znikła, kościółek skrył się w łono mogiły, a zamiast porannej pieśni pustelnika, słychać gwar wojskowy. Umilkł głos tysiąca ptaszek, co tu przed laty witały wschodzące słońce, bo „Huk dział wystraszył słowiki z ogrodów.“ W miejscu dębów i brzoź, kwiecia i murawy, dokoła powyrastały posępne mury, bastiony, rowy i zwodzone mosty, a z pomiędzy nich nie oko pielgrzyma łzą zachwytu zroszone, ale paszcze dział przyglądają się wieżom Krakowa.

Odwróćmy wzrok od tego widoku.

Na wschód góry Bronisławy wznosi się inna, dorównująca prawie jej wyżynom. To góra srebrna, za mnoga ilość kruszców tego przez Mikołaja Wolskiego zakupiona. Z ciemnego boru wyglądają dwie wieże bieląńskiego klasztoru; samotnicy reguły św. Romualda zamieszkali ten cichy przybytek. Z okien tego klasztoru przypatrywał się nieszczęsny Jan Kaźmirz straszemu pożarowi, który niszczył obszerne przedmieście Krakowa, rozniecony ręką obrońców. Dalej wzrok, spoczawszy chwilę na Tyńcu i wyniosłej górze, dźwigającej szczątki lanckorońskiego zamku, przywodzi na myśl dzieje ostatnich walk w tych stronach, z zaciętością toczonych. Widokrag zamyka z tej strony łańcuch siny tatrzańskich wierzchołów, spływających w jedno z oponą chmur, co na nich przysiadła.

Od północo-wschodu, wśród warzywnych ogrodów, bieleją mury pałacu łobzowskiego. Nie szczątki to pałacu króla chłopków, ani zbudowanego później letniego ustronia Wazów. W miejscu tych zburzonych re-

likwiz zasiadł gmach trzypiętrowy, zbudowany dla kadetów, a dziś na szkołę artylerji przeznaczony. Ciężko tu ostać się zabytkom wspaniałej przeszłości; zab czasu litościwszym okazuje się od niechętniej ręki człowieka.

Na północ rozściela się miasto i górują szczyty czterdziestu jego świątyni; z trzydziestu pięciu innych ślady nawet nie pozostały. Piękna koronka gotycka zdobiąca mury Sukiennic, rysuje się wśród licznych gmachów; nad wszystko zaś wystrzelili wieże maryackiego kościoła, dalej brama floryańska i trzy bastiony pozostałe po dawnych murach; wspaniałe kopuły kościołów św. Anny i św. Piotra dopełniają harmonii widoku.

Po za miastem, gdzie wrokiem rzucisz, wszędzie czerwienią mury bastyonów, smutna przepowiednia losu Krakowa, który mu na przypadek wojny zagroza; po za niemi pola rozległe, wzgórzami zakończone, w oddaleniu opactwo cystersów w Mogile, dalej na wzgórz mogiła Wandy. Od południa łańcuch Krzemionek, z katedrą mistrza Twardowskiego, nie dozwala oku sięgnąć daleko; na wschodnim ich krańcu wznosi się otoczona bastyonem mogiła Krakusa.

Trzy te strażnice, strzegąc Krakowa, rozpowiadają ziomkowi z dalekich stron przybyłemu dzieje losów miasta, poczawszy od zamierzchłych czasów pogaństwa, aż do zgonu rycerza, któremu ostatnią z nich usypano.

Patrzac na ten gród wdowi, nawał uczuć przepelnia duszę, serce przyspieszonym tętnem uderza, pierś uciska tęsknota, a łza gwałtem cisnie się do oka; myśl ginie w wspomnieniach, przed wrokiem ducha widocznie staje

Kraków—stolica pyszna co się zowie!
Ile jest grodów wspaniałych na ziemi,
Kraków najpierwszy pomiędzy wszystkimi.
I mało ludzi co byli w Krakowie,
Boć to daleko leży nieslychanie,
Najzwawszy Kozak nie za dzień tam stanie.

I nieodrazu Kraków zbudowany;
Swoi i cudzy prawią o nim wiele,
Dworzec przy dworcu, kościół przy kościele,
I kamienice kamienne, a ściany,
Nawet i dachy z pozłocistej miedzi,
I król dlatego rad sobie w nim siedzi.

Niedarmo pańskie oko tuczy konia!
Bliżej przy królu weselsze i rzesze,
Toż młódz tam ognia podkówkami krzesze,
Byle gdzie spojrzeć w ulice i błonia,
To krasne czapki, brzękadła u pasa,
I kto żyw jeno, a zdrowy, to hasa!
Nigdzie już lepij, choć jedź i za morze.

Tak maluje dawną stolicę ukraiński wieszcz, tak ją sobie wystawia ten, co patrzac z wawelskiej góry, przeniesie się duchem w olbrzymie wieki Zyguntów i zdola choć na chwilę wydrzeć z pamięci smutną obecność.

II.

Wiadomo powszechnie że za czasów Leszka Czarnego, mieszczaństwo krakowskie składało się głównie prawie z osadników niemieckich, którzy zwabieni prawem magdeburskim, ściągali się ochotnie i kolonizowali w miastach wyludnionych najazdem Mogolów. Wtedy Kraków był ziemczony, a mieszkańcy jego wzbili się w bogactwa, prowadząc obszerne handel i dzierżawiąc rozległe włości opactwa tyńkieckiego. Zachciwki germańskie wystąpiły na jaw raz za Leszka, dwukrotnie za Łokietka; i nie ustaly, aż przedniejsi rajcowie za ostatnią zdradę dali gardło. Później wszelako potomkowie osadników tych spolszczyli się zupełnie i zapomnieli o rodzinnej naddziadów ziemi, a Kraków stał się sercem dawniej Polski, i odtąd jeden duch zawsze ożywiał jego mieszkańców.

Są przecież i dziś ludzie, co lekkomyślnie twierdzą że dla Krakowa wróciły czasy Leszkowe. Płochy ten i krzywdzący sąd rozsiewać mogą tylko kilkudniowi turyści, którzy biorąc za podstawę wrażenia chwytane z bruku, mniemają iż widzieli i zrozumieli wszystko i z góry rzucają wyrok potępienia niczém niesprawiedliwiony.

W sercach tym nierozważnym sądem pokrzywdzonej ludności goreje zawsze święty ogień, ale nie każde oko odbłyśku jego dostrzeże. Pozór łatwo przelotnych wędrowców błędną poprowadzi ścieżką i próżnoby z tłumów różnojęzycznych zalegających ulice chciał wyrokować o prawdziwym życiu miasta. Blichtrz mamiący, naleciała kurzawa, nadają Krakowowi tę kosmopolityczną powłokę, którą lada powiew przyjaźniejszego wiatru strąca, odkrywając żywe, rodzime barwy.